DOM I SZKOŁA

ROK I. * * * 1930 R. * * * NR. 23

Matka Piotra Jerzego Frassati'ego

Dnia 4 lipca 1925 r. zmarł w Turynie we Włoszech, przeżywszy zaledwie 24 lata, student politechniki Piotr Jerzy Frassati, syn senatora i zarazem właściciela dziennika.

Zabłysnął i zgasł, pozostawiając głęboki i szczery żal w sercach nie tylko swej rodziny i przyjaciół, ale także wśród szerokich mas społeczeństwa włoskiego, wśród inteligencji i wśród najbiedniejszych, których wspierał materjalnie i moralnie.

Umarł, a jednak żyje i żyć wśród nas będzie, by być wzorem nie tylko dla młodzieży włoskiej, ale i dla wszystkich chrześcijan całego świata. Był to bowiem młodzieniec, którego piękno świetlanej duszy zlewało się w harmonijną całość z jego silną postacią. Był silny nie tylko ciałem, ale i duchem, głęboko religijny, szczery, prawdomówny, prawy, uczynny, a przytem pełen radości życia, lubiany przez kolegów i koleżanki.

Czy Piotr Jerzy zostanie kiedyś wyniesiony na ołtarze, Bogu tylko wiadomo; w każdym razie to pewne, że jego dobry przykład zdziałał bardzo wiele, niejeden nawrócił się ze złej drogi, niejedno serce poczęło bić dla Boga, tak, jak dla Boga był każdy czyn, każde słowo świątobliwego młodzieńca.

A komuż po Bogu to wszystko w dużej mierze przypisać należy, jeżeli nie matce mądrej i religijnej? Wszak matka Piotra Jerzego kierowała krokami syna od pierwszych lat jego dziecięctwa. Wszak Piotr Jerzy będąc już młodzieńcem, jej zwierzał się ze wszystkich swych trosk i kłopotów, prosząc w trudniejszych sprawach o radę i pomoc.

Każda matka, każdy ojciec doskonale zdają sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach dobrze wychować dziecko nie jest rzeczą łatwą. Dla pani Frassati wychowanie dzieci, zwłaszcza syna, przedstawiało wiele trudności, gdyż Jurek obok wielkich zalet charakteru miał także i wady, właściwe bardzo wielu dzieciom: był porywczy i uparty, miał skłonność do marnowania czasu, nie miał zamiłowania porządku i lubił wyrządzać różne psoty. Rozsądna matka szukała pomocy w Bogu, sama uczyła dzieci pierwszych zasad wiary, wychowanie religijne rozpoczęła od wpajania głębokiej miłości ku Bogu i gorącego nabożeństwa do Pana Jezusa.

P. Frassati dokładała wszelkich starań, aby dzieci wychować skromnie. Podczas gdy inni rodzice swoje dzieci prowadzili do kina lub do cukierni na lody, p. Frassati szła ze swojemi do kościoła. Zdarza się nieraz, że matki zwłaszcza zamożniejszych domów wprost zasypują swe dzieci zabawkami; p. Frassati, choć bardzo bogata, nie psuła swych pociech, obdarowując je jedynie w uroczyste święta.

Chroniąc od przyjemności, które mogłyby dzieciom wyrządzić choćby najmniejszą szkodę moralną, rozsądna matka starała się dostarczać im wszelkich godziwych rozrywek, jak jazda na rowerze, wiosłowanie, wycieczki w góry i t. p. Gdy dzieci były jeszcze małe, sama zaprawiała je do wycieczek górskich, prowadząc na szczyty niektórych niższych gór i, wskazując na otaczającą przyrodę, uczyła wielbić i kochać Stwórcę.

Co znaczy kaprysić, grymasić, naprzykrzać się, aby koniecznie otrzymać pożądaną rzecz, tego dzieci państwa Frassati wcale nie znały. P. Frassati była bowiem stanowcza i nigdy nie cofała raz wypowiedzianego słowa. Gdy wyrzekła „nie", nie pomogły żadne prośby, płacze i nalegania. Umiała także wyrobić w dzieciach poczucie obowiązku i silną wolę. Nie zdarzyło się nigdy, aby które z jej dzieci dla jakiego błahego powodu miało w niedzielę lub święto opuścić Mszę św. Dzieci tak miały wpojoną istotę Mszy św., że Jerzy już jako student politechniki, gdy nie mógł pogodzić wysłuchania Mszy św. z wycieczką w góry, wyrzekał się wycieczki i czynił to z taką prostotą, tak naturalnie, że ani przez chwilę przez myśl mu nie przeszło smucić się z tego powodu. Rozumiał i odczuwał, że wobec obowiązku wysłuchania Mszy św. wszystko inne musi usunąć się na dalszy plan.

W miarę, jak dzieci dorastały, p. Frassati widząc, że postępują rozsądnie, pozostawiała im coraz więcej swobody, jednakże nie przestawała czuwać nad niemi ani na chwilę, nawet gdy dorosły. Widząc, że syn jej wcześnie rozwinął się fizycznie, przestrzegała go przed niebezpieczeństwami, jakie grożą mu w życiu. Jednakże mimo troskliwości macierzyńskiej Jerzy w tajemnicy przed matką kilka razy był w towarzystwie dwóch kolegów na przechadzkach z dwoma dziewczętami, które pierwsze nawiązały z nimi rozmowę. Gdy p. Frassati przypadkowo dowiedziała się o tem, zawołała syna i na osobności swój sąd o lekkomyślności jego mu przedstawiła. Jerzy jednak nie przyznał się do winy, wobec czego zmartwiona matka, chcąc dowiedzieć się wszystkiego, zaprosiła do siebie obie matki towarzyszów wybryku Jurka. Okazało się, że, jak dotąd, przekroczenie polegało jedynie na wspólnych spacerach i przejażdżkach. Wobec czego obaj chłopcy łatwo uzyskali przebaczenie od swoich matek. P. Frassati jednakże, nie widząc w Jurku skruchy i zrozumienia lekkomyślności popełnionego czynu, nie przebaczyła mu i była dlań chłodna i surowa. O, jakżeż zbawiennie podziałało to na młodego chłopca; zastanowił się nad swym czynem, ukorzył się przed Bogiem w modlitwie, przyjął do serca Pana Jezusa, a potem znalazłszy odpowiednią chwilę, gdy matka była sama, wbrew swemu zwyczajowi upadł przed nią na kolana i powiedział:

— Mamo, przebacz, ach, przebacz!... Nie wiedziałem, co czynię. Przysięgam ci, przysięgam, że już więcej nigdy czegoś podobnego nie popełnię.

Wielki ciężar spadł z serca matki, a Jurek odtąd pamiętał na dane przyrzeczenie i do końca życia pozostał czystym i nieskalanym.

Wreszcie widzimy p. Frassati u łoża umierającego najdroższego syna. Mimo, że okropny cios był niespodziewany, nie poddała się rozpaczy, a myślała jedynie o zbawieniu duszy swego Jurka. Posłała więc po księdza, który zaopatrzył chorego na drogę wieczności, a następnie trwała przy łożu umierającego syna

i aż do chwili jego śmierci podpowiadała mu święte imiona Jezusa, Marji, Józefa. K. J.

Uwaga. Wszystkim Czytelnikom i Czytelniczkom „Domu i szkoły“ polecamy obszerny życiorys Piotra Jerzego Frassati'ego, napisany przez ks. dra Antoniego Cojazzi'ego. Życiorys ten ukazał się w roku bieżącym w tłumaczeniu polskiem nakładem salezjańskiego studentatu filozoficznego w Krakowie.

A. P.

Zamiast odpowiedzi na ankietę

Tajemnica powodzenia.

Było skwarne popołudnie. Ulice miasteczka opustoszały, bo któżby to w taką gorączkę się prażył — natomiast w cieniu, który kładły jednopiętrowe domki, na schodach przed drzwiami rozsiadły się kumoszki i dalej do pogawędki. Jakto sąsiadki — poczną najpierw o swojej biedzie, o zgryzotach, o ciężkich czasach, o swoich synach i córkach, z któremi mają tyle kłopotów i utrapień, że niech ręka boska broni!...

No, a potem, jak się te tematy wyczerpią, rozpoczyna się na nowo o — innych sąsiadkach; ta ma nowy kapelusz — widocznie dobrze jej się powodzi — inna nową suknię, w której się paraduje jak idzie po zakupy, a płaci zaraz gotówką, nie jak one na „książkę“...

— A bo to wiecie — odzywa się jedna — jak jej niema iść dobrze, kiedy chłop przynosi jej coś 300 zł na miesiąc...

— Co tam dużo wiecie — przeczy jej energicznie inna — 500 złotych zarobi na miesiąc, a kto wie, czy nie więcej...

— No, widzicie — podchwytuje pierwsza radośnie — i jak ma im być źle!...

— A syn, a córka w banku?...

Kumoszki patrzą jedna na drugą ze zdziwieniem, że o takich ważnych rzeczach mogły zapomnieć.

— Hm, niema to jak takim!... Ładnie sobie chodzą, dobrze zjedzą, a zapytajcie ich się, jeszcze będą utyskiwali, że źle im się powodzi....

— Tak to już na świecie, że ten, który ma zadużo, chciałby jeszcze więcej....

— A przez to niesprawiedliwość na świecie...

No i od takich wstępów przychodzi do tajemniczych zwierzeń, wreszcie obmawiają, oczerniają, a jedna wie więcej od drugiej. Kumoszki takie poprostu prześcigają się wzajemnie, każda wie coś nowego o danej rodzinie... A jak wsiądą na ulubionego konika, to z biedą je wygonisz z przed chałupy — chyba nagły deszcz je rozgoni, ale zazwyczaj jeszcze wejdą do tej lub tamtej i kończą, lub na nowo rozpoczynają pogawędkę. Nawet w każdym przechodniu widzą coś nowego. W jego sposobie chodzenia, po jego ubraniu, trzewikach, czy wreszcie kapeluszu, znajdują wady lub przymioty.

No i dzisiaj rozsiadły się nasze babinki w najlepsze, krytykują, zbijają a tak się zatrzeciewiły w rozmowie, że zupełnie zapomniały o kolacji dla swoich mężów, wracających z pracy...

A tu nagle syrena fabryczna oznajmia, że szósta godzina na karku...

Dopiero się kumoszki opamiętały i dalej do przyprawiania potraw na poczekaniu, bo przecież jak mąż przyjdzie spracowany, będzie chciał mieć kolację na stole, a tu — piec zimny, garnki jak stały od obiadu tak stoją niewymyte, na podłodze pełno śmieci, papierów — słowem, nieporządek w izbie...

A gosposia rozgorączkowana lata zła, wymawiając sąsiadkom, że to z ich winy tak się zasiedziała, dzieciom kręcącym się z płaczem po izbie udziela parę klapsów i nie wie, co tu prędko sporządzić dla męża, bo tak jej w głowie tkwią głęboko wszystkie plotki, że trudno jej zrazu myśli skupić...

Przychodzi mąż — no i naturalnie wynika sprzeczka, bo żona dopiero ogień rozpala, do kolacji jeszcze daleko. Co robić?... Jeść mu się chce, wreszcie zły i zirytowany wychodzi z niemiłej dlań izby i kieruje się do restauracji. Tam zamawia sobie porządną porcję, zalewa się piwem, przychodzą koledzy i czas się trwoni na pijatyce i bezmyślnem paplaniu.

A przecież są to wydatki, które budżet robotnika porządnie nadszarpują. I tu zależy wyłącznie na żonie. Bo chcąc męża utrzymać w izbie, urządź ją tak, by była dla niego milszą niż karczma — stroń od plotkarstwa, a miłość i błogosławieństwo Boże zakwitnie w twoim domu i dobrze ci się będzie powodziło...

Oto cała tajemnica powodzenia...

Maszyna do szycia

Blisko 100 lat temu, w pracowni sławnego mechanika w Bostonie*) zajęty był młody człowiek, nazwiskiem Eljasz Hove. Był to robotnik zręczny i zmyślny, choć niezbyt pilny, a przytem nieco niepraktyczny i dziecinny pomimo swoich lat dwudziestu.

Pewnego razu, gdy przypatrywał się jakiejś nieudanej czy zepsutej maszynie do robienia pończoch, przyszło mu na myśl, czy nie możnaby sporządzić maszyny do szycia. Myśl ta nie dawała mu spokoju dniem i nocą, więc wałęsał się od krawca do krawca i całemi godzinami przypatrywał się szyciu z taką uwagą, że ludzie brali go za półgłówka.

Mijały lata. Hove otworzył własną pracownię, ale nie wiodło mu się. W jego nędznej izdebce na poddaszu wieczna panowała bieda i nie było co do ust włożyć, a on bezustannie ślęczał nad swoim wynalazkiem, choć się z niego wyśmiewali znajomi, a żona narzekała, że mógłby się zająć czemś pożyteczniejszem.

Po kilku latach bezowocnych prób przyszło mu na myśl, że maszyna nie musi koniecznie naśladować pracę rąk ludzkich, możnaby zatem szycie ręczne innym ściegiem zastąpić. Wziął więc dwie nitki i sporządził ten ścieg zapomocą tkackiego czółenka i nieco wygiętej igły z dziurką na końcu.

Tak więc osiągnął to, nad czem mozolił się lata całe. W październiku 1844 r. zrobił prymitywny model z drutu i drzewa i przekonał się, że ta maszyna szyje. Pożyczywszy pieniędzy od bogatego węglarza Fischera, Hove zbudował następnie maszynę ze stali, na której uszyto w czerwcu 1845 r. dwa całkowite ubrania.

Tę pierwszą, oczywiście ręczną maszynę do szycia można dziś jeszcze oglądać w Nowym Jorku. Jest tak mała, że zmieści się do niewielkiego pudełka, a jednak tak praktyczna, że choć powstało odtąd blisko

*) W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.

700 różnych systemów maszyn do szycia, wszystkie opierają się na wynalazku Hovego.

Ale teraz dopiero zaczęły się dla wynalazcy prawdziwe kłopoty i cierpienia. Daremnie chodził ze swą maszyną od krawca do krawca, żaden nie chciał jej używać w obawie bankructwa. Chcąc ludzi zachęcić, Hove wystawił swą maszynę w magazynie gotowych ubrań i sam ją produkował, szyjąc na niej przez dwa tygodnie wszystko, co mu znoszono. Potem urządził wyścig, do którego stanęło pięć najzręczniejszych szwaczek Bostonu. Przygotowano dziesięć szwów jednakiej długości, pięć miała wykonać maszyna, a drugie pięć owe dziewczęta. Właściciel magazynu stał przy tem z zegarkiem w ręku, i musiał przyznać, że choć szwaczki starały się szyć prędzej niż zwykle, Hove dawno swoje pięć szwów wykonał, zanim która z dziewcząt jeden ukończyła, a nadto — szycie maszynowe było i porządniejsze i trwalsze.

Pomimo to nikt nie chciał kupić maszyny. Hove popadł w prawdziwą nędzę. Nie znalazłszy uznania w Ameryce, niefortunny wynalazca próbował potem szczęścia w Anglji. Pewien prezmysłowiec dał mu środki na założenie fabryki maszyn do szycia, ale potem zerwał kontrakt, tak że biedny Hove, nie mając za co powrócić do Nowego Jorku, musiał zastawić swą pierwszą maszynę.

Wróciwszy do Ameryki, przekonał się Hove, że tymczasem maszyna do szycia stała się sławną. Kilku mechaników wyzyskało zręcznie jego wynalazek, ulepszone maszyny do szycia wystawione były w wielu sklepach N. Jorku i w innych miastach Stanów Zjednoczonych, a w Bostonie używano już maszyny w kilku magazynach krawieckich.

Hove wytoczył natychmiast proces swym naśladowcom, wygrał go, został w r. 1850 uznany pierwszym wynalazcą maszyny do szycia i odtąd począł zbierać plony swych trudów.

Później nieco pojawiły się nowe maszyny konstrukcji Izaaka Singera, które rozpowszechniły się bardzo szybko po całym świecie.

Dziś maszyna do szycia i haftu tak jest udoskonaloną, że wykonuje wszystko, co igłą wykonać można. Dobra szwaczka robi przeciętnie 35 ściegów na minutę, zaś szybka maszyna wykonuje ich w tym samym czasie 3000. Ileż więc czasu i pracy zaoszczędzić można zapomocą tego pożytecznego wynalazku!

K.

Jak zapobiegać zazdrości u dzieci

Zazdrość to wada szkaradna; wżera się jak robak w serca starszych i u dzieci łatwo się pleni, a często rodzice sami są temu winni, gdy wyszczególniają jedno dziecko a upośledzają resztę.

Roztropna matka ma dla wszystkich dzieci jednako kochające serce. Jednego dziecka nie wywyższa ponad drugie; jednego ciągle nie chwali, a drugiego nie gani; nie stroi i nie obsypuje łakociami i pieszczotami tego, które najładniejsze; słowem roztropna matka nie ma między dziećmi swych Benjaminków, czyli ulubieńców. Chyba temu dziecku może okazywać więcej miłości i to większą opieką otaczać, które jest od natury upośledzone. W przeciwnym razie sama zasiewa w sercach dzieci uczucie zazdrości i nienawiści.

— 84 —

jak zawsze, z łóżka nr. 2 spojrzały na nią obce oczy i wychudła twarz nowego chorego.

Drgnęła i opanowała się zaraz, pytając swobodnie:

— Gdzież porucznik Żmuda?

— Przeniesiono go do innego szpitala.

— Wszyscy jesteśmy jak pakunki, dzisiaj tu, jutro tam; własną wolę zabrała nam wojna, manekiny.

— Kukły...

— Ludzie papierowi, jeno, że broczący krwią.

— Ach tak...

Postawiła na stole wazę i układała w niej przyniesione białe chryzantemy, układała niezwykle długo, ale gdy skończyła, miała już na ustach maskę pogody i uśmiech słoneczny, jak zwykle.

Żartowała, śmiała się, mówiła słowa dobre i pogodne.

Tylko gdy wsiadła do auta i znowu jechała tą samą drogą złotej baśni, łzy nagle zmąciły wzrok i zaczęły płynąć jedna za drugą.

Teraz już nikt nie patrzył i baronówna Velden była tylko biedną, rozkochaną dziewczyną, do której duszy zastukało cierpienie.

Poznała łzy słoneczna dziewczyna.

Poznała miłość

— 81 —

Patrzył na jej profil delikatny, ściągnięte brwi i usta drżące, jak u skrzywdzonego dziecka. Nie rozumiała go, nie chciała zrozumieć.

Jego męska duma wydała się jej śmieszną, głupią, i gniewało ją, że jednak coś w niej miłowało tę jego dumę właśnie.

„Buick" zatrzymał się przed szpitalnym gmachem. Wziął jedną z rączek spoczywających na kierownicy i pocałował.

Rwały mu się na usta słowa gorące, miłowania pełne a rzucił krótko szeptem, co w gardle więznął:

— Dziękuję.

— Do jutra...

Milczał, dziewczyna wstrząsnęła jasną główką, jakgdyby myśl jakąś natrętną odpędzić usiłowała, pochyliła się nad kierownicą, motor drgnął...

Auto ruszyło, zniknęło w złotej baśni jesiennego świata.

Został sam...

Jakże ponure, mroczne, więzienne wydały mu się mury szpitala...

* * *

Tadeusz Żmuda zapukał do kancelarji naczelnego lekarza; blady był i wzruszony, miał za sobą nieprzespaną noc, noc walki i ostatecznego zwycięstwa.

Chcąc zapobiec tej szkaradnej wadzie, niedość jednak być sprawiedliwą, trzeba jeszcze wyrabiać w dzieciach to piękne i szlachetne usposobienie, które się cieszy ze szczęścia drugich, życzy im go z całego serca i pragnie chętnie w tym celu dopomóc. Niech matka nakłania dzieci, aby jedno drugiemu użyczyło z tego, co dostanie: aby jedno drugiemu pomagało, aby jedno dla drugiego chętnie jakąś ofiarę poniosło. W umyśle dzieci trzeba wyrabiać przekonanie, że jak słońce z rozkazu Bożego wszystkim dobrym i złym zarówno świeci, a deszcz na wszystkich jednako pada, tak życzliwy człowiek obejmuje swem sercem wszystkich, naśladując w tem swego Ojca niebieskiego. K.

Rady praktyczne.

Porządki domowe.

Czyszczenie mebli dywanowych. Meble, obite dywanową materją, odświeża się wilgotną szczoteczką, maczaną w salmiaku z wodą (pół na pół), który przywraca pokryciom wyblakłe zabarwienia. Można takie meble dywanowe czyścić wszystkiemi sposobami, podanemi poprzednio dla dywanów.

Czyszczenie materacy. Chcąc oczyścić materace, należy rozpruć poszewki, wyjąć włosień, wytrzepać go mocno z kurzu, wyprać, wygotować z mydłem i sodą, opłókać i wysuszyć na słońcu. Poszewki należy spruć, a po wyczyszczeniu, napychać w nie włosień, równo rozściełając go i przepikowując grubą, szarą nicią, lub sznurkiem. Szwy, dla upiększenia, należy wykańczać chwaścikiem z włóczki. Kanty materaca należy obszyć podobnie, jak to jest zrobione w materacach nowych.

Czyszczenie poduszek. Poduszki i pierzyny czyści się przez wysypanie pierza do worka z rzadkiego muślinu, upranie wsypki, a wytrzepanie i wygotowanie pierza razem z workiem, do którego je przesypano. Gotować worki z pierzem należy przez 10 minut w wodzie z mydłem i sodą, a następnie kilkakrotnie przepłókać w wodzie letniej, wycisnąć i powiesić na słońcu. W razie, jeżeli pierze się pościel po chorobie, należy do wody, w której się gotuje pierze oraz do wody, w której pierzemy wsypy, dodać dla dezynfekcji nieco kali hypermanganicum (można nabyć w aptece, lub składzie aptecznym).

Czyszczenie luster. Lustra wycierać należy przy pomocy miękkiej ściereczki popiołem z papierosów, lub też kredą, rozrobioną ze spirytusem. Po natarciu należy dokładnie oczyścić kawałkiem zamszu. Jeżeli lustro jest zmatowane, należy posmarować je olejem lnianym, a po paru godzinach zmyć spirytusem rozcieńczonym i wytrzeć do sucha.

Naprawa luster uszkodzonych. Często zdarza się, że ze spodniej części lustra oskrobie się część substancji srebrzystej, tworzącej istotne zwierciadło. Chcąc taki brak usunąć, musimy wynaleźć kawałek potłuczonego lusterka, zeskrobać zeń amalgamę, rozpuścić ją w rtęci (wystarczy parę kropel) i mieszaniną tą posmarować pendzelkiem po uszkodzonych miejscach zwierciadła (oczywiście ze spodu).

Dr. Andrzej Vertesy zajęty był badaniem moczu, gotował właśnie w probierce podejrzanego koloru płyn, w którym wyraźnie ścinało się białko.

— Proszę.

Podniósł na wchodzącego krótkowzroczne, przysłonięte okularami oczy i wskazał stołek z drugiej strony biurka.

— Zaraz skończę, niech pan tymczasem siada, poruczniku. — Tak jak przypuszczałem... — mruczał do siebie. — Ostre zapalenie nerek i ślad cukru.

Notował, obliczał, głową kiwał: temu już wojna nie grozi. Możnaby go może uratować, ale medycyna wojskowa ma środki tak ograniczone, ot i bezsilna... Podpisz, człowieku, wyrok śmierci i czekaj...

Gniewnie odsunął papier i do swojego młodego gościa się zwrócił:

— No? Z czem pan do mnie, poruczniku?

— Chciałem prosić o przesunięcie mnie do innego szpitala.

— Hym...

Dr. Vertesy okulary wytarł bardzo starannie, uśmiechnął się pod wąsem i nagle bystro spojrzał w oczy chłopcu:

— Jakże się wczoraj udała wycieczka autem?

— Odczułem właśnie, że jestem już niemal zdrowy i że zmiana zrobiłaby mi dobrze.

— Hym...

Jeszcze jeden trup, niebezpieczna dziewczyna z tej baronówny, kochają się w niej wszyscy na zabój, ale gdybym był młodszy... kto wie. Oczy doktora przybrały pogodny wyraz.

— Właściwie mógłbym pana postawić przed komisją i zwolnić, ale czy pan ma na dalsze leczenie nogi, po za szpitalem?

— Nie.

— W takim razie wyślę pana do Trenczyna.

— Czy mógłbym prosić pana doktora, by się to stało jaknajprędzej?

— Jutro rano.

— A jeślibym bardzo prosił o dzisiaj wieczór?

— Ziemia się pali pod nogami, czy co?

— Nie... ale nie należy igrać z ogniem, doktorze.

— No... zrobi się.

I zrobiło się. Wieczornym pociągiem Tadeusz Żmuda odjechał.

* * *

Gdy na drugi dzień baronówna Velden weszła na salę czwartą, uśmiechnięta i słoneczna,